

Kultura

Paweł Głowacki

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Drewniany konik

Znowu nie przyśniła mi się sznurówka w ustach. Jedyną pamiątką z mej niedgysiejszej intelektualnej podróży po dadaizmie wciąż jest reprodukcja rysunku Bellmera. Przedstawia ona głowę mężczyzny, który patrzy w bok po skosie okiem pustym jak lalki, z których Bellmer tak idealnie konstruował przerażenie światem. Nie mam żadnych wątpliwości - jest to twarz mężczyzny myślącego. Więcej powiem, nie mam cienia niejasności, co mężczyzna myśli, myśli on mianowicie: *Boże, tyłem w 1916, 1917 głupstw nagadał w Zurychu, tyłem nabredził niepoczytalnie i nic, wciąż sobie spokojnie żyje...* Dokładnie to myśli model Bellmera i ja się modelowi nie dziwię, że akurat to myśli. Jak się człowiek nazywa jakoś, a artystycznie jak się nazywa Tristan Tzara, i jak jest ojcem ruchu Dada, czyli ojcem najświetniejszej bredzącej awangardy w historii sztuki, to niby co taki ktoś ma myśleć, gdy go uwiecznia facet naprawdę wielki? To samo pomyślę, gdy mnie na ten przykład Marcin Świetlicki - poeta wiecznie skulony - w jakim wierszu umieści, jeśli umieści rzecz jasna. A poza tym, tyleż

się nie dziwię, że Tzara w ołówku Bellmera myśli, co myśli, ile się dziwię, że w ogóle myśli. Powinien przecież gaworzyć. Powinien, bo znakiem firmowym dadaizmu jest niemowle, czyli kruchość zaczynająca od kompletnego zera. Jak Tzara.

Czy gaworzenie jest myśleniem? Nie moja rzecz rozstrzygać. Co jednak myślał Łukasz Czuj - bo chyba myślał - gdy brał na teatralny warsztat dadaistyczne gaworzenie? Śmiem twierdzić, że dobrze myślał. Już dwa razy wystawiał fanaberie awangardy, dwa razy pokazywał dziełka z Oberiutów uszyte - i dwa razy trafił na ten sam motyw zasadniczy, na przerażenie światem mianowicie. Przecież trochę późniejszy, niżli ruch Dada w Zurychu, ruch Oberiu w Leningradzie, bredził tak samo. Przecież w tych literaturach niczego dziś nie ma, a dziś niczego nie ma, bo nigdy niczego w nich nie było. Nawet cytować mi się nie chce. Idźcie na oddział noworodków, to usłyszycie. Więc przecież to wszystko prawda, ale i prawda, że w istocie nie o to chodzi. Rzecz w tym, że Czuj znalazł w Oberiu zasadę Oberiu, czyli znalazł ludzi, którzy się boją.

Wiadomy Włodzimierz Iljicz wydumał i w życie wprowadził świat, który daje ciemność. Mróz przytkniętej do skroni lufy pistoletu był tylko kwestią czasu, nawet jeśli nie był to ściśle ten mróz. Jak to szło przeżyć? Różnie, każdy orał, jak mógł. Oberiuci akurat zatańcowali ciemność, odpawiali na niej najdziwniejsze fikołki absurdu, nihilizmu, językowego dyrdymału, boki można było zrywać. Szli przez Leningrad, kolebiąc się lekko. (Erudycyjnie czujnych informuję, że wiem, iż parafrazuję Herberta). Pamiętacie Chaplina, który zjada buty? To jest kolosalnie śmieszna perypetia, tylko jak to jest, że człowiek czasami się budzi nagle w środku ciemności, bo mu się śni sznurówka w beznadziejnie beznadnych ustach? No, jak to jest? „Tango Oberiu” Czuja, „Sen pogodnego karalucha” Czuja - to były takie przebudzenia. Przy zachowaniu wszelkich proporcji oczywiście. A jego dadaści? Jego „Symfoniczna wazelina 1917”?

Znowu Gombrowicz się przypomina. Jak kiedyś wszedł do argentyńskiej knajpy i jako wybitny poeta awangardowy się przedstawił, to na potwierdzenie

nie wyrecytował z punktu: *Cip, cip, wołała na mnie kura, kiedy malował stary dach. Królowi angielskiemu hura, hura, mego żonie jest na imię Stach.*

Ta głupawa rymowanka jest w każdym calu lepsza od najnowszego dzieła Czuja. Wiadomo, o co rymowance chodzi, a przede wszystkim - trwa pięć sekund. Nowy Czuj trwa godzinę z nieładną nawiązką, całkiem jak broda mego dziadka. Co się stało? Nie przesadzajmy - nic się nie stało. Każdy, zwłaszcza reżyser, może skrewić totalnie. Nic wielkiego się nie stało. To znaczy: 8 lutego 1916 r., w środku beznadziejnej wojny, w jak zwykłej neutralnej Szwajcarii, w uroczym mieście Zurychu, w Café Terrasse, kilku zblamowanych młodzieńców pochyliło się... Naczelnym okazał się niejaki Rosenstock, czyli nasz Tzara. Pochylili się nad kawusią oraz nad słownikiem Larousse'a. Oko padło na wyraz *dada*, który po niemowłecemu oznacza drewnianego konika. I tak to się zaczęło. I tak to się skończyło. Dadaizm nigdy nie zszedł z drewnianego konika. To się stało, czyli nic, tyle że Czuj zauważył, iż wtedy w Zu-

rychu, dwie bramy od dadaistycznej kawiarenki mieszkał Lenin. Kto wie, pewnie - tylko nad innym absurdem - pochylił się w tej samej kafejce, kto wie... Jemu wyszło, im nie, to są zwyczajne dzieje. Lenin zszedł z drewnianego konika.

Ja pojmuję, że takie zbiegi okoliczności są kuszące. Pojmuję koncept łączący Leninem Dada z Oberiu. Przyjmuję również myśl, że Lenin po to zrobił rewolucję, żeby Czuj mógł robić teatr. Pojmuję to wszystko, przyjmuję do wiadomości, niestety, pojmuję głównie to, że na scenie wióry się walają. Z faktu, że plastycznie wszystko w starych, czujowych oberiucko-dziwnych klimatach jest utrzymane, wynika akurat jedynie drewniany konik. Z faktu, że artyści ruszają się szalenie dziwnie, ten sam drewniany konik wynika. Fakt, że mówią oni dziwnie teksty dziwne, nie zmienia ich położenia - wciąż siedzą na drewnianym koniku. Ja, broń mnie Panie Boże, nie chcę dworować sobie z imion i nazwisk, ale jeśli z faktu, że jeden z artystów nazywa się Tadeusz Łomnicki, wynika drewniany konik, to jednak będę sobie dworował. Niech mnie żaden

Bóg przed tym nie broni. I niechaj żaden Bóg mi nie wyjaśnia, że Tomasz Wysocki w roli Tzara był niezły. Wiem to, ale wiem również, że Wysocki nie zmienia ogólnego drewnianego konika całości.

Nic zatem. Miękką godzinka. Czuj nagle stracił ostrość, zęby mu wypadły. Zrobił spektakl nieznośnie literaturoznawczy, pseudodowcipny, rzekł, co rzekł, po to, że bym ja się dowiedział, że w 1917 r. w Zurychu dałaiści bredzili niepoczytalnie. Jest drewniany konik. Są spanikowane aktorskie usta, doczepione do idiotycznych słów. Nie ma ludzi. Nie ma bezradności, nie ma strachu. Teatralność jest. Nikt nie gaworzy dlatego, że jakoś dotrzeć przecież trzeba. Drewniany konik jest przystawiony oczywiście, ale co z tego? I tak nikomu nie przyśni się sznurówka w ustach, dla których sznurówka jest życiem po prostu.

Teatr Ludowy. Scena pod Ratuszem. „Symfoniczna wazelina 1917”. Scenariusz i reżyseria Łukasz Czuj. Scenografia Michał Urban. Muzyka Dominik Pietraszko.